

# Max Barclay



**Czerwona  
rteć**

---

Max Barclay

# Czerwona rteć

Tłumaczenie: Anita Jankowska-Kotla,  
Przemysław Jankowski

ESPADON PUBLISHING  
W A R S Z A W A 2 0 2 0

Komitet Igrzysk Olimpijskich w Atlancie  
Biuro Przewodniczącego

Lipiec 1996

Drodzy Goście Igrzysk Olimpijskich,

Witam na Igrzyskach Olimpijskich w Atlancie. W imieniu ponad 75 tysięcy ochotników i pracowników, którzy swym trudem przyczynili się do organizacji Igrzysk, z prawdziwą dumą mam zaszczyt dokonać prezentacji Igrzysk XXVI Olimpiady – najliczniejszego w dziejach ludzkości pokojowego spotkania narodów.

Oto Igrzyska Stulecia, największe w historii. Oto najwięcej krajów, najwięcej uczestników, najwięcej dyscyplin, najwięcej medali i najwięcej biletów.

Oto reprezentanci Australii, Kambodży, Estonii, Republiki Południowej Afryki, Trynidadu i Tobago. Światowej klasy zawodnicy z rekordowej liczby 197 krajów.

Sportowcy ci poświęcili swe młode lata dla zdobycia złotego medalu olimpijskiego i chlubnego miejsca w historii sportu.

Wy też możecie stać się częścią historii, częścią tego niezwykłego spektaklu, podczas którego cały świat jednoczy się na siedemnaście dni i nocy.

Atlanta przygotowywała się do roli gospodarza Igrzysk przez niemal osiem lat. Jesteśmy przekonani, że te Igrzyska głęboko zapadną wszystkim w pamięć.

Witamy zatem w Atlancie.

Niech te Igrzyska staną się początkiem nowej ery dobra dla nas wszystkich!

Donny Sanders  
Przewodniczący  
Komitet Igrzysk Olimpijskich w Atlancie

# CZEŚĆ I

GOTÓW

**Kto nie spodziewa się niespodziewanego,  
nie spostrzeże, że nadeszło**

— Heraklit

## 1

### **Międzynarodowy Port Lotniczy Hartsfield, Atlanta w stanie Georgia Piątek, 19 lipca 1996, godz. 8:55 czasu letniego EDT**

Mężczyzna obserwujący coś pilnie przez teleobiektyw tkwił przy oknie o przyciemnionych szybach w Hali C już od paru godzin. Trudno było go nie zauważyć — niby stał nieruchomo, ale jego ręce powtarzały wciąż ten sam ciąg nerwowych ruchów. To poprawiał błękitno-złotą czapkę z daszkiem, to spoglądał na zegarek, to majstrował coś przy aparacie.

Sto metrów dalej, przy automacie telefonicznym w pobliżu punktu odpraw linii Delta, Frank Torsella, agent Stanowego Biura Śledczego pochylił się do mikrofonu wbudowanego w znaczek olimpijski wpięty w kurtkę.

— Ten głupek z Hali C ciągle tam tkwi — wyszeptał Torsella. — Trzeba mu się bliżej przyjrzeć.

— Mam cię na monitorze — powiedział technik łączności w Olimpijskim Ośrodku Nadzoru Ruchu Lotniczego, jednym z sześciu głównych ośrodków bezpieczeństwa utworzonych w Atlancie na okres Igrzysk. — Prosimy o uśmiech, przystojniaczku.

Torsella puścił oko w kierunku podwieszanej wysoko kamery. On i jego partner, obaj w szortach i koszulkach, stanowili nieumundurowany patrol Wydziału Śledczego, jeden spośród setek podobnych zespołów wczesnego ostrzegania rozlokowanych w całej Atlancie. Tego rodzaju patrole ze Stanowego Biura Śledczego i Wydziału Policji w Atlancie wykorzystano już rok wcześniej podczas osławionego dorocznego zjazdu studentów Freaknik'95. Przed rozpoczęciem Igrzysk zespoły te przeszły specjalne przeszkolenie. Ci ludzie byli trybikami uruchamiającymi całą olimpijską maszynę bezpieczeństwa, aktywnymi ogniwami wywiadu, oczyma i uszami systemu ochrony prawa.

Torsella i jego partner, ciągnąc za sobą puste walizki pochodzące z magazynów Biura Śledczego, powolnym krokiem podeszli do mężczyzny z aparatem.

— Przepraszam bardzo — powiedział Torsella z szorstkim południowym akcentem — którą do odbioru bagażu?

Lorneta podskoczył, odłożył aparat i powoli odwrócił się w ich stronę.

— Słucham? — spytał z niepewnym uśmiechem.

— Gdzie jest odbiór bagażu? — powtórzył Torsella, starając się jednocześnie zapamiętać jak najwięcej szczegółów jego twarzy drugiego: pod czterdziestkę, włosy ciemnoblonde, opalenizna, zielone oczy.

— Przepraszam — powiedział Lorneta — ale nie wiem. Nie mam zielonego pojęcia.

— Niezły sprzęt. — Torsella starał się podtrzymać rozmowę, by zyskać jeszcze chwilę bezpośredniego kontaktu. — Co pan pstryka?

– Zdjęcia.

– Zdjęcia czego? – spytał Torsella, spoglądając przez okno w stronę pasa startowego 8-L.

– Przecież mówię, po prostu zdjęcia – odparł Lorneta. – To wolny kraj, no nie?

Torsella roześmiał się, ale jeszcze uważniej przyjrzał się podejrzanemu mężczyźnie. Miał on na sobie czapkę z emblematem Uniwersytetu w Emory oraz cienką złotą obrączkę. Na grzbiecie jego nosa widoczne były małe wgłębienia, niewątpliwie od ciężkich okularów.

Nic niezwykłego, podsumował w duchu Torsella, oprócz rozbieganych oczu.

Lorneta zdał sobie sprawę, że przesadził trochę z tym „wolnym krajem”. Ci faceci nie wyglądali na turystów. Raczej na dwóch cwaniaczków poszukujących na lotnisku łatwej zdobyczy. Albo na ludzi z ochrony.

– Mam rodzinę w Turkmenistanie – powiedział, szukając jakiegoś wytłumaczenia.

– Ich drużyna olimpijska ma zaraz wylądować. Pierwszy raz na olimpiadzie. Chcę im zrobić parę fotek do rodzinnego albumu.

– W Tur ... czym?

– W Turkmenistanie.

– W życiu o tym nie słyszałem.

– To w Azji – powiedział Lorneta. – Ropa, gaz, piasek, i nic poza tym.

– Jak nie mają ośrodków Club Med, to ja się wypisuję – powiedział Torsella. – Dzięki za uprzejmość i do zobaczenia.

I grupa operacyjna poszła sobie dalej.

Odchodząc, agenci wymienili spojrzenia. Torsella spojrział w stronę kamery i powiedział do ukrytego mikrofonu:

– Z tym gościem w Hali C dajemy sobie spokój. To jakiś oryginał, który ma hyzja na punkcie Turkmenistanu.

Lorneta poczekał, aż obaj mężczyźni odeszli nieco dalej. Nigdy nie przeszedł szkolenia jako oficer operacyjny. Ani obserwacja, ani kamuflaż nie należały do jego mocnych stron. Zrozumiał, że będzie musiał zachować większą ostrożność. Sięgnął do kieszeni i wyjął fiolkę Thorazyny. Łyknął parę tabletek, odczekał pięć minut, a potem przeszedł do innego okna, gdzie rozpoczął swą wartę na nowo.

„Ten samolot strasznie się spóźnia – pomyślał – ale w końcu przyleci”.

M u s i przylecieć.

Prawie kręciło mu się w głowie z podniecenia. Ponad rok zajęło mu przygotowanie dostawy tego ostatniego składnika, elementu dopełniającego jego światoburcze dzieło.

Czternaście godzin wcześniej jego kontakt na lotnisku w Aszchabadzie, pustynnej stolicy byłej radzieckiej republiki, obserwował chwilę załadunku przesyłki na pokład Boeinga 757. Po ceremonii pożegnalnej, która nie obyła się bez występu orkiestr dętych, parady wielbłądów i popisów tanecznych, turkmeńska ekipa olimpijska weszła na pokład samolotu i wyruszyła w drogę do Reykjavíku i dalej do Atlanty.

Chyba żeby coś nawaliło.

Poprzez warstwę drgającego, rozgrzanego powietrza przy końcu pasa startowego Lorneta śledził wzrokiem każdy lądujący samolot. Co pięćdziesiąt sekund, z regularnością zegarka, siadały na ziemi kolejne maszyny.

I wtedy dostrzegł zielony dwusilnikowy odrzutowiec, z białym półksiężycem i pięcioma gwiazdami wymalowanymi na ogonie. Samolot podchodził do lądowania.

„Nareszcie” – pomyślał.

Boeing 757 dotknął kołami trzykilometrowego pasa startowego. Spod kół podniosły się na chwilę obłoczki dymu. Samolot zawrócił na pas do kołowania, toczył się parąset metrów

i wreszcie zatrzymał przy starym hangarze Eastern Airlines na południe od Airport Loop Road. Komitet ds. Igrzysk Olimpijskich w Atlancie, w skrócie KIOA, wynajął ten teren wraz z zespołem siedmiu budynków od władz Atlanty, by rozładować trochę natłok sportowców, działaczy i dziennikarzy spieszących na Igrzyska.

Gdy tylko turkmeński samolot zatrzymał się na dobre, ruszyły w jego stronę ekipy bagażowych z wózkami i platformami. Kilku umundurowanych pracowników przyciągnęło do dziobu odrzutowca schodki na kółkach, przyozdobione olimpijskimi flagami. Otwarto drzwi i dwudziestu pięciu sportowców odzianych w zielone dresy Adidasa, mrużąc oczy od słońca postawiło pierwsze kroki pod rozgrzanym niebem Atlanty. Lorneta przyglądał im się po kolei. Uderzenie wilgotnego gorąca wywołało na ich twarzach wyraz zaskoczenia. Upał był nie do zniesienia nawet dla tych młodych ludzi wychowanych na jałowej pustyni Kara Kum w pobliżu granicy z Afganistanem i Irakiem.

Mężczyzna w granatowym garniturze, przedstawiciel Komitetu, powitał szefa ekipy Turkmenistanu, wręczając gościom wieniec z liści oliwnych, flagę jubileuszowych Igrzysk i oprawną w ramki deklarację olimpijską.

Orkiestra odegrała turkmeński hymn narodowy. Następnie przygarbiony okularnik, urzędnik z Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego wygłosił standardową mowę powitalną pod adresem ekipy turkmeńskiej i garstki reporterów odgradzonych złocistym sznurem. Sportowcy przeciągali się i ziewali, śmiertelnie znudzeni tym ceremoniałem.

W ciągu ostatniego miesiąca taki rytuał powitalny powtarzano ponad sto razy, w miarę tego jak ekipy olimpijskie napływały z całego świata. Na Igrzyska do Atlanty zaproszonych zostało 197 krajów — liczba oszałamiająca w porównaniu z trzynastoma krajami i 311 sportowcami uczestniczącymi w pierwszych nowożytnych Igrzyskach w Atenach w roku 1896.

Sto lat później o 1879 medali miało walczyć ponad jedenaście tysięcy sportowców. Kolejne ekipy lądowały na Hartsfield, przechodziły kontrolę w tymczasowo zaadaptowanym do tego celu hangarze i przewożone były do wioski olimpijskiej.

Lorneta powiódł wzrokiem po płycie lotniska w poszukiwaniu śladów nadzwyczajnych zabezpieczeń. Naliczył kilka wysoko umocowanych zdalnie sterowanych kamer. Dwuosobowe patrole w granatowych mundurach krążyły pieszo po polu startowym. Strażnicy zatrudnieni zostali przez Borg-Warner Security Corporation, amerykańską firmę wynajętą przez KIOA specjalnie na Igrzyska. Lorneta był dziwnie spokojny, że gdzieś niedaleko hangaru w pełnym pogotowiu oczekują uzbrojone po zęby oddziały specjalne miejscowej policji w swych charakterystycznych matowoczarnych furgonetkach. Wiedział także, że po drugiej stronie pasa startowego 8-L, w kremowym nie oznakowanym hangarze Departament Obrony umieścił swych ludzi i ciężki sprzęt, na wypadek gdyby miejskie, stanowe lub federalne organizacje ochrony prawa potrzebowały wsparcia.

Z aparatem wycelowanym w kadłub samolotu, Lorneta przyglądał się, jak z przenośnika taśmowego zjeżdżają jedna po drugiej paki z bagażem i sprzętem. Wiele z nich było ogromnych rozmiarów; domyślał się, że zawierają pewnie krążki i gryfy do sztang. Turkmenistan jest ojczyzną najlepszych ciężarówców. Na niedawnych Lekkoatletycznych Mistrzostwach Świata turkmeńscy sportowcy zdobyli w tej dyscyplinie dziesięć złotych medali oraz dwadzieścia pięć srebrnych i brązowych.

Wreszcie pojawiły się palety. Zrobił zbliżenie na jedną z nich, wyładowaną sprzętem lekkoatletycznym.

— Tttak! Mam cię! — powiedział.

Nastawił ostrość na pojedynczą zieloną skrzynię, rozmiarów małej szafki, z rosyjskimi napisami z boku.

Śledził przez obiektyw, jak prostokątna skrzynka zostaje załadowana na wózek widłowy i wjeżdża przez kilkunastometrową bramę do wnętrza hangaru, gdzie czekali celnicy i agenci Służb Imigracyjno-Naturalizacyjnych.

Lemuel Denson, antypatyczny oficer służb celnych w przepoconym mundurze, przed rozpoczęciem inspekcji przebiegł wzrokiem raport wywiadu dotyczący Turkmenistanu. Informacje w jego notatniku pochodziły od FBI, CIA, z Pentagonu i z Departamentu Stanu. Wywiad uznał, że Turkmenistan należy do kategorii krajów niskiego ryzyka i niskiego zagrożenia. Choć kraj ten graniczył z Irakiem, udało mu się utrzymać poza orbitą wpływów tamtejszego sankcjonowanego przez państwo terroryzmu. Denson był pewien, że inspekcja pójdzie łatwo i szybko.

— Co tam macie w tych skrzyniach? — spytał Jagmura Owiezowa, mocno zbudowanego turkmeńskiego trenera i sprzętowca. Twarz czterdziestoletniego Owiezowa, nieogolona i poznaczona bliznami, przypominała kostropatą plecionkę z sizalu. Filigranowa tłumaczka, jedna z setek wynajętych na Igrzyska z nowojorskiej siedziby ONZ, przetłumaczyła pytanie celnika.

— Sprzęt sportowy — odparł Owiezow z gardłowym akcentem.

Denson nie przywiązywał zbytnej wagi do tej odpowiedzi. Wszystkie te pytania i tak były pozbawione sensu. Przemytnicy i terroryści przecież nie mówią prawdy. Jeśli mieliby zamiar wwieźć coś nielegalnie do Stanów, nie chwaliliby się tym na prawo i lewo.

Służby celne Stanów Zjednoczonych wołały zatem polegać na czterech odrębnych systemach wykrywania kontrabandy. W ciągu zaledwie tygodnia pracy na Igrzyskach Denson przyłapał na gorącym uczynku przemytników diamentów z Namibii, Tajlandczyków z pudłami pełnymi jaszczurce ponabijanych na pręty, oraz wietnamskiego działacza z pieczoną małpiatką zagrożonego wyginięciem gatunku lori.

W czasie, gdy Denson zadawał dalej nic nie znaczące pytania ze swej listy, dwa owczarki niemieckie, specjalnie wyszkolone do wykrywania narkotyków, zainteresowały się zieloną skrzynią. Psy stanowiły pierwsze z szeregu czterech zabezpieczeń. Goliat, jeden z najlepszych psów FBI ze Szkoły Tresury Psów Policyjnych w Hunstville w stanie Alabama, wskoczył na skrzynię i obwąchał wymalowany na pokrywie biały półksiężyc i gwiazdy. Warknął, zeskoczył ze skrzyni i pociągnął prowadzącego go opiekuna w stronę reszty bagażu.

Następnie skrzynię przepuszczono przez urządzenie o nazwie Egis 3000, mające wartość 165 tysięcy dolarów, a wyprodukowane przez firmę Thermedics Detection w Woburn w stanie Massachusetts. Podobnie jak psy narkotyki, tak urządzenie to „wywąchiwało” śladowe ilości materiałów wybuchowych i było w stanie wykryć milionową część grama semteksu w nesecerze lub pod paznokciem terrorysty. Opracowano je na początku lat 80., po atakach na koszary Piechoty Morskiej i ambasadę amerykańską w Bejrucie. Po zamachu bombowym na samolot Pan Am nad Lockerbie w 1988 Egis został zmodyfikowany i wprowadzony na lotniska amerykańskie i międzynarodowe. Jego jedyną wadą było to, że czasem zdarzało mu się wziąć jedwabne ubrania za bombę. Zmylić go mogła obecność związków azotu w jedwabiu.

Egis przepuścił zieloną skrzynię. Sygnał dźwiękowy nie odezwał się.

Skrzynia miała teraz przejść przez trzeci system zabezpieczeń, CTX 5000, milionowej wartości wykrywacz materiałów wybuchowych wyprodukowany przez firmę InVision Technologies z Foster City w stanie Kalifornia. Nic nie mogło się ukryć przed tą trzytonową maszyną rozmiarów samochodu. Urządzenie to wykorzystywało technologię tomografii skanującej, zapożyczoną ze świata medycyny. Wysyłana przez nie wiązka wachlarzowa przenikała przez bagaże i ładunki, umożliwiając analizę gęstości, kształtu i składu chemicznego zawartości. Następnie specjalny program komputerowy porównywał kolejne przekroje i przypisywał różne kolory poszczególnym przedmiotom. Materiały wybuchowe ukazy-

wały się na ekranie w kolorze czerwonym, zapalniki — w niebieskozielonym. Na najwyższej prędkości CTX mógł przeprowadzić analizę sztuki bagażu w ciągu siedmiu sekund. Gdy urządzenie natrafiało na materiały wybuchowe, dynamit lub narkotyki, odzywał się sygnał alarmowy.

Luanne Sipple, dwudziestodwuletnia celniczka obsługująca CTX, przyglądała się obrazowi na ekranie komputera. Przed chwilą przez urządzenie przeszły paki ze sprzętem sportowym — oszczypty, młoty, dyski — więc Sipple nie zwróciła baczniejszej uwagi na zarysy sześciu przedmiotów widniejących przed nią. Na wszelki wypadek obróciła jeszcze obraz, po czym na przywieszce przy skrzyni zaznaczyła w okienku CTX — sprawdzono.

W końcu skrzynia trafiła na stół Lemuela Densona — czwarty i ostatni element ciągu zabezpieczeń. Denson zauważył, że skrzynia nie ma zamków, więc pewnie w środku nie znajduje się nic cennego.

— Otwórz to cacko — powiedział Denson.

— Tak. Otworzyć — odpowiedział Owiezow i zwolnił zasuwki. Denson zajrzał do środka. Zawartość skrzyni zabezpieczona była pianką. Inspektor pogrzebał trochę w środku, by sprawdzić reakcję Owiezowa. Zatrzasnął wieko.

W swoim notatniku zapisał jeszcze parę uwag, a potem opasał skrzynię dwoma kawałkami grubej żółtej taśmy. Na taśmie co kilkanaście centymetrów powtarzało się wydrukowane kanciasnymi czarnymi literami pojedyncze słowo: SKONTROLOWANO.

Pracownicy lotniska załadowali skrzynię do autobusu, w którym siedziała już cała dwudziestopięciosobowa ekipa turkmeńska.

Podróż do wioski olimpijskiej, najlepiej strzeżonego miasta na ziemi, zabierze trzydzieści minut.

W Hali C mężczyzna z teleobiektywem wmieszał się w tłum.

## 2

### **Los Alamos w stanie Nowy Meksyk Piątek, 19 lipca 1996, godz. 7:05 czasu letniego MDT**

Poranek w Parku Narodowym Santa Fe był rześki i pogodny. Na tle nieba o fioletowym odcieniu samotny jastrząb unosił się coraz wyżej, szybując we wstępujących prądach powietrza.

Z pięciometrowej wieży obserwacyjnej dwóch mężczyzn przyglądało się przez lornetkę, jak dwie grupy ludzi ustawiają się po przeciwległych stronach odkrytej polany. Dziesięciosobowa grupa ruszyła do przodu, wzbijając chmury pyłu. Każdy z napastników miał na sobie żółty kombinezon przeciwdeszczowy, wysokie kalosze i maskę połączoną z butlą tlenową. Na przeciwnym końcu polany druga grupa ustawiła się w szereg wzdłuż grubego szarego węża podłączonego do pięćsetlitrowego przewoźnego zbiornika.

— Atak! — krzyknął Mack McFall ze szczytu wieży w Strefie Doświadczalnej nr 17.

Strumień czarnego szlamu wytrysnął z wysokociśnieniowej dyszy, rozpryskując się na żółtych kombinezonach ludzi biegnących w jego stronę. Gdy dosięgnął ich, jeden po drugim zaczęli się poruszać coraz wolniej, wreszcie przestawali poruszać się w ogóle, jak owady w miodzie.

Uwięźli na dobre w lepkiej mazi.

— Mówimy na to „techno-lasso” — powiedział McFall do swojego gościa, odejmując od oczu lornetkę Pocketscope. — Ci faceci nie ruszą się, dopóki ktoś ich nie wytnie ze skafandrów.



— Przyjrzyjmy się temu z bliska — zaproponował i zeskoczył z wieży obserwacyjnej. Szczupły i wysportowany mimo swojej czterdziestki, McFall sprężyście dotknął stopami ziemi, jakby był to dla niego zwykły krok, a nie skok z kilku metrów.

— Nie dla mnie takie wyczyny — powiedział kontradmirał Chalmer Taylor spoglądając w dół na McFall'a. — Wolę spokojny rejs.

Kontradmirał dźwigający nie tylko siódmy krzyżyk na karku, ale i trzydzieści nadprogramowych kilogramów, gramolił się powoli w dół po rozklekotanej drewnianej drabinie, mamrocząc pod nosem. — Muszę zacząć się trochę więcej ruszać.

Poszli w kierunku oblepionych mazią postaci.

— Niech pan lepiej zatka nos — zaproponował McFall odgarniając z czoła ciemne, gęste włosy. — Na razie nie to bardzo możemy sobie poradzić z zapachem.

W powietrzu unosiła się dusząca woń palonego plastiku.

— Lepki, nie zastygający materiał termoplastyczny. — McFall trącił palcem maź na kombinzone jednego z unieruchomionych mężczyzn. — Gęstość nieco wyższa niż wody. Po rozpyleniu zwiększa objętość trzydzieści pięć do pięćdziesięciu razy.

— Co macie zamiar z tym zrobić? — spytał Taylor.

— Bardzo użyteczny przy radzeniu sobie z tłumem. Chłopcy używali wcześniejszej wersji w Somalii podczas operacji „Przywrócić Nadzieję”. Ale opracowaliśmy to, żeby chronić nasze zasoby nuklearne. Jak ktoś spróbuje się połakomić na którąś z naszych zabawek, rozpyli się to na niego i ...daleko nie ucieknie.

Taylor pokiwał głową z uznaniem. Zastępca podsekretarza Departamentu Energetyki ds. Zastosowań Bojowych i Kontroli Zasobów Nuklearnych stwierdził w duchu, że to co ma przed oczami, warte jest tych ciągłych walk o fundusze, jakie toczył w stolicy. No i ta nazwa grupy: Zespół ds. Metod Zwalczania Broni Masowego Rażenia – to także było coś.

„Najważniejsze — pomyślał Taylor — że Mack wrócił”. McFall był jednym z najlepszych w Stanach twórców broni jądrowej. Było ich może osiemdziesięciu, pracowali w trzech należących do Departamentu Energetyki laboratoriach. Po ukończeniu Akademii Morskiej i uwieńczonym wieloma odznaczeniami pobycie w oddziałach desantowych Marynarki Wojennej McFall zrobił doktorat w Massachusetts Institute of Technology i prosto stamtąd przeszedł do pracy w Wydziale Badań Militarnych Departamentu Energetyki. Przez lata zajmował się budową coraz mniejszych i coraz potężniejszych pocisków nuklearnych. Ostatnio otrzymał najambitniejsze zadanie swojego życia: miał skonstruować i przetestować supernowoczesny sprzęt i uzbrojenie przeciwko terrorystom posługującym się bronią jądrową.

Na polanie pojawiła się grupa następnych dziesięciu ludzi. Mężczyzna trzymający w ręku wyglądający zupełnie zwyczajnie zielony wąż ogrodowy spryskał ziemię dookoła uczestników eksperymentu, którzy niemal natychmiast zaczęli się ślizgać i tracić równowagę. Jeden po drugim padali na ziemię. Choć usiłowali powstać, żaden nie mógł utrzymać się na nogach.

— To substancja poślizgowa — powiedział McFall. — Ma szerokie zastosowanie w unieruchamianiu. Mogliśmy tego użyć na Autostradzie Śmierci w pobliżu Basy podczas wojny w Zatoce. Ale mamy zamiar to wykorzystać do ochrony naszych zasobów nuklearnych. Wystarczy wiaderko tego świństwa na pasie startowym, na drodze czy wewnątrz budynku i źli chłopcy będą musieli trochę zwolnić.

— Z czego to jest zrobione? — Taylor obserwował, jak ochotnicy bezradnie taplają się w mazi, nie mogąc powstać.

— Grochówka z naszej stołówki — powiedział McFall z szelmowskim uśmiechem.

Taylor klepnął go po ramieniu.

— Mack, naprawdę się cieszę, że jesteś znowu z nami. Przez chwilę myśleliśmy już, że Połączone Sztaby Specjalne zabrały cię nam na dobre.

– No cóż, potrzebowali trochę pomocy przy swoim potencjale antyterrorystycznym. A mnie było trzeba trochę ćwiczeń na poligonie w Fort Bragg.

McFall spojrział na swojego Timexa.

– Trzeba już chyba pana odwieźć do laboratorium na to spotkanie z grubymi rybami – powiedział do Taylora. Skierowali się w stronę nie utwardzonego parkingu.

W sosnowym lesie sto pięćdziesiąt metrów od nich pod osłoną gałęzi przykłąkł mężczyzna. Śledził ruchy McFall'a przez silną lornetkę. U jego stóp leżał pistolet maszynowy MP-5 Heckler & Koch.

– Uwaga, Omega w ruchu – powiedział cicho mężczyzna do mikrofonu nagłownego. Podniósł z ziemi broń i pobiegł w głąb lasu.

McFall i Taylor podeszli do sfatygowanego terenowego Forda Bronco.

– No to karty na stół – powiedział McFall. – Na czym stoimy? Czy mam pana utaplać w naszej tajemniczej mazi, czy też obieca nam pan fundusze na pełną realizację programu?

– Zapobieganie rozprzestrzenianiu broni nuklearnej jest jednym z naszych priorytetów – odparł Taylor.

– A jak to będzie po ludzku? – powiedział McFall.

– Ten program jest naprawdę ważny. – W głosie Taylora zabrzmiała lżejsza nuta.

– Dlatego właśnie sprowadziłem cię tu z powrotem i daliśmy ci czek in blanco. Ale cięcia budżetowe nas dobijają. Ci idioci w Kongresie chcą obciąć prawie cały budżet na twój program i jeszcze wyrwać coś z operacji specjalnych. Przymierzają się nawet, żeby uszczknąć coś Zespołowi Wykrywania Zagrożeń Nuklearnych. Oni po prostu nic nie rozumieją.

– Znam ten temat – powiedział McFall, wyobrażając sobie, jak jego program antyterrorystyczny uziemiają jakieś liczące każdy grosz polityczne miernoty. – Wiecznie to samo – mruknął. – Kule mnie się nie imają, ale gówno – owszem.

Otworzył drzwi Forda. Leżący na przednim siedzeniu golden retriever wyskoczył z samochodu.

– Stój, stój!

Pies obiegł jeepa, wskoczył z powrotem na przednie siedzenie.

– Do tyłu, Atomek. No już, szybko!

McFall wsiadł do samochodu, otworzył Taylorowi z drugiej strony i sięgnął po buteleczkę Advilu.

– Ciągłe skutki wczorajszego wieczoru? – spytał Taylor.

– Było tego trochę za dużo jak na tę wysokość – odparł McFall. – Moja wątroba się jeszcze nie zaaklimatyzowała.

Poprzedniego wieczora McFall świętował wraz ze współpracownikami z Miasteczka Atomowego pięćdziesiąte pierwsze urodziny bomby jądrowej. Mało kto zapewne pamiętał o tej rocznicy, nie mówiąc już o jej uczczeniu. Jednak dla tego zamkniętego grona konstruktorów broni dzień 16 lipca 1945 roku był najważniejszą datą w historii świata. Tego właśnie dnia o godzinie 5:29 rano na pustyni Jornada del Muerto w huku eksplozji rozpoczęła się era atomowa.

McFall i Taylor trzęśli się na wyboistej drodze prowadzącej w dół, ku głównej bramie Strefy Doświadczalnej nr 17. Nagle jak spod ziemi pojawiły się dwie czarne furgonetki z lustrzanymi szybami, jedna przed Fordem, druga za nim.

McFall ostro przyhamował.

– O Jezu – powiedział Taylor. – Czy te mięśniaki muszą naprawdę wszędzie za tobą jeździć?

– To nie ja na to wpadłem – odparł McFall. – Dostałem ich w zeszłym roku w prezencie z Waszyngtonu po tym, jak przytknęliśmy Ramzi Al-Asifę i jego irańską bandę.

- To wtedy, jak ten Ajatollah Jak-Mu-Tam nałożył na ciebie fatwę?
- Uhm – przytaknął McFall.
- To rzadkie wyróżnienie – powiedział Taylor. – Nie każdemu zdarza się żyć z islamskim wyrokiem śmierci wiszącym nad głową.
- Powinno się to uznać za ryzyko zawodowe związane z pracą dla Wielkiego Szatana.
- Mack McFall, Salman Rushdie z Los Alamos – powiedział Taylor.
- Do diabła – powiedział McFall – pochlebstwem da się wiele zdziałać.

Umuduwany strażnik Narodowego Laboratorium Los Alamos otworzył bramę z drutu kolczastego. McFall pomachał mu ręką i skręcił w lewo na drogę nr 4. Czarne furgonetki trzymały się w pobliżu.

Jechali w milczeniu przez Park Narodowy Santa Fe, mijając po drodze rozległą, porośniętą trawą dolinę Valles Caldera, powstałą milion lat temu wskutek wybuchu wulkanu. Skała bitumiczna pokrywała zbocza gór aż do Los Alamos. Z przodu, nad doliną i pasmem górskim Sangre de Cristo, promienie słońca przedzierały się przez chmury.

– Przepraszam, że poruszam ten temat – przerwał milczenie Taylor – ale chciałem ci powiedzieć, jak mi przykro z powodu Jenny.

– Dziękuję – powiedział McFall. – Wdzięczny jestem za list. Po prostu nie czułem się na siłach, żeby radzić sobie z tymi wszystkimi kwiatami, listami i telefonami.

– Daj sobie trochę czasu – powiedział Taylor. – Nie spiesz się. Wierz mi, to musi potrwać parę lat.

McFall nie odpowiedział. Po kilku minutach byli już z powrotem na wielopalczastym, pokrytym czerwonawymi skałami płaskowyżu Pajarito, na wysokości 2263 metrów. Przejechali szerokimi, opustoszałymi ulicami Los Alamos. McFall zaparkował na kolistym podjeździe przed budynkiem administracyjnym przy West Jemez Road. Dwie czarne furgonetki czekały już na ulicy.

- Dzięki za pokaz – powiedział Taylor, wysiadając z Forda – i trzymaj się.
- Tak jest, admirale.
- Jeszcze jedno – dodał Taylor, wciągając głęboko górskie powietrze. – Lepiej zrób coś ze smrodem tej mazi, zanim cię dopadną ci z ochrony środowiska.
- Niech pan nam tylko załatwi kasę, a my się już postaramy, żeby pachniało lawendą.
- Cieszę się, że wróciłeś, Mack.
- Ja też, może – powiedział McFall, wrzucając bieg.

Przejechał przez most nad urwistym kanionem i skręcił w prawo na Trinity Drive, minął Fuller Lodge i drewnianą szkołę, w której świętowano poprzedniej nocy. Jechał w stronę Hill Diner – knajpki, którą często odwiedzał przed południem. Czarne furgonetki trzymały się blisko jego samochodu.

„Że też Taylor wspomniął o Jenny!” – pomyślał, starając się ze wszystkich sił zepchnąć wspomnienie swej żony z powrotem na najdalsze zakamarki umysłu.

W momencie gdy parkował przed restauracją, zadzwonił telefon w samochodzie.

- McFall, słucham.
- Mack – odezwał się znajomy, lecz niepokojąco drżący głos. – Pomóż mi. Mam kłopoty.
- Co się stało, Stan? Stan, słyszysz mnie?

Stan Treadwell, doświadczony naukowiec, opiekun i przyjaciel McFalla od ponad dwudziestu lat, prosił: – Potrzebuję pomocy. To coś poważnego. Naprawdę poważnego. Proszę, Mack, przyjedź. Przyjedź szybko.

# 3

## Atlanta

**Piątek, 19 lipca 1996, godz. 9:10**

Samotny punkcik światła kreślił w ciemności łagodne linie, unosząc się w oddali to niżej, to wyżej. Wszystkie drzwi były zamknięte, a podświetlone na czerwono znaki WYJŚCIE starannie zaklejone. Gdyby nie chłód płynący z klimatyzacji, można by wziąć odległą płamkę światła za świetlika w letnią noc.

W ciszy rozległ się syk ledwo głośniejszy od szeptu.

Nagle lufy plunęły białymi błyskami podobnymi do stroboskopowych świateł, a cisze rozdarły wystrzały z karabinów samopowtarzalnych. Czerwone ślady pocisków smugowych rozświetliły ciemność. Rozległ się jazgot zniszczenia, odgłos rozdzieranego drewna, rozrywanego metalu. Strzały ustały tak samo nagle, jak się rozpoczęły. Echo wybrzmiewało jeszcze przez chwilę, w powietrzu pozostał zapach prochu. Odległy punkcik światła nadal unosił się w ciemności.

Minęło trzydzieści sekund, gęsty dym zdążył się przerzedzić. I znowu syk.

Znowu wystrzały, błyski pocisków smugowych, pękające drewno, gruchotany metal.

Potem nastąpiła cisza, jak makiem zasiał.

I powoli rozbłysły światła na olimpijskiej strzelnicy.

Półtora tysiąca dziennikarzy stojących na galeriach widokowych zamrugało oczyma, przyzwyczajając wzrok do jaskrawego światła emitowanego przez halogenowe lampy. Na pozycjach strzeleckich dwunastu mężczyzn zdjęło okulary z noktowizorami. Gdy wzrok zebranych zaczął koncentrować się na odległym o sto pięćdziesiąt metrów celu, przez galerię prasową przeszła fala poruszenia.

Na przeciwległym końcu strzelnicy, w samym centrum zniszczenia, stała samotna kobieta w dopasowanym granatowym żakiecie i krótkiej rozszerzanej spódnicy. W palcach trzymała żarzącego się wciąż papierosa. Rzuciła niedopałek na betonową podłogę i zgniotła go czubkiem czarnego pantofla.

Kamerzyści stacji telewizyjnych nastawili ostrość na cel strzelaniny: figury czarnych charakterów z kreskówek, podziurawione teraz pociskami. Następnie skierowali kamery na kobietę, która spokojnym ruchem wsunęła do kieszeni ochronne okulary i ruszyła w stronę reporterów.

Wysoka, ciemnowłosa Kyle Preston szła przez strzelnicę pewnym siebie krokiem modelki na wybiegu. Miała trzydzieści dziewięć lat i jak dotąd nikt jednak nie wziął jej za dziewczynę z okładek. Z bliska nie była piękną. Linia jej nosa ucierpiała za dawnych szkolnych dni w starciu z kijem hokejowym. Policzki miała okrągłe, a podbródek nieco cofnięty.

Preston wiedziała jednak, że to starannie wyreżyseowane widowisko, a potem parada na wysokich obcasach przez kłęby dymu i rumowisko szczątków, będzie przebojem dzienników telewizyjnych całego świata. „Nie trzeba w to angażować myślenia”, zauważył jeden z jej młodych asystentów prasowych podczas przejazdu z Głównego Ośrodka Dowodzenia. „Tylko się nie potknij! Trzy miliardy ludzi będą to oglądać”.

Preston podeszła do mikrofonu, odczekała sekundę i uśmiechnęła się lekko w stronę rzędów błyskających fleszy i szemrzących kamer wideo.

— Panie i panowie — powiedziała — witam w pierwszym dniu XXVI Igrzysk Olimpijskich. Chciałabym podziękować, że zechcieli Państwo przybyć na strzelnicę Wolf Creek. Mam nadzieję, że warto było zamawiać poranne budzenie.

Międzynarodowa społeczność dziennikarska zazwyczaj nie rozpoczynała pracy przed dziesiątą, toteż ludzie z Komitetu zajmujący się kontaktami z prasą doskonale zdawali sobie sprawę, że zaproszenie reporterów na dziedziątą jest nieco ryzykowne. Byli jednak pew-

ni, że mała kanonada z samego rana obudzi reporterów na dobre i dostarczy materiału do wiadomości na cały dzień. Ekipa prasowa zaczerpnęła ten pomysł prosto z olimpijskiego podręcznika chwytów reklamowych. Zdarzyło się już wcześniej, podczas dni poprzedzających Igrzyska Letnie w Los Angeles w 1984, że FBI zaprezentowała pięćdziesięciosobowy Oddział Uwalniania Zakładników przy akompaniamencie wystrzałów.

Podczas tamtego pokazu agenci Oddziału skakali z helikopterów, rzucali granatami błyskawicznymi, a wyznaczone cele obracali w pył. „Jeśli się tu pojawicie, wykończymy was”, warknął jeden z agentów specjalnych FBI w słynnym wywiadzie telewizyjnym. Zgodnie z zamierzeniami, wydarzenia te znalazły swe miejsce w wiadomościach telewizyjnych, a cel informacyjny został osiągnięty.

— Zaczynamy od początku — powiedziała kobieta przy mikrofonie. — Nazywam się Kyle Preston i jestem dowódcą podlegającego FBI Olimpijskiego Zespołu Zwalczenia Terroryzmu.

Asystenci prasowi Komitetu w nienaganych granatowych marynarkach i spodniach khaki pojawili się wśród rzędów ławek i zaczęli rozdawać kartki z trzystronicowym życiorysem Preston. Biografia jej przebiegała prostym i konsekwentnym torem: urodzona w Macon w stanie Georgia, stopień magistra nauk politycznych na Uniwersytecie w Emory, doktorat ze spraw międzynarodowych w Georgetown, stypendium Białego Domu, funkcja agenta specjalnego FBI podczas Igrzysk Letnich w Los Angeles, oficer łącznikowy FBI na Igrzyskach w Seulu i Barcelonie, a ostatnio zastępca kierownika wydziału Specjalnej Grupy Reagowania FBI z kwaterą główną w Quantico. Lista nadanych jej odznaczeń i nagród zajmowała całą stronę, podobnie jak spis artykułów, które opublikowała w periodykach poświęconych polityce międzynarodowej i ochronie prawa.

— Szanowni Państwo — powiedziała Preston — to dla mnie wielka przyjemność, że mogę w tym pierwszym dniu Igrzysk Olimpijskich zaprezentować Państwu coś zupełnie nowego. Panie i panowie, oto Olimpijska Formacja Oszczep.

Za jej plecami ludzie w kevlarowych hełmach i z zamaskowanymi twarzami powstali z mat strzeleckich i ustawili się w szereg. Każdy ze snajperów wyposażony był w najnowocześniejszą broń. Czterech z nich trzymało w rękach zmodyfikowane karabiny M-24 Remington z silnymi noktowizorami AN/PVS-10. Inni czterej ścisłali w dłoniach robione na zamówienie karabiny samopowtarzalne Barrett 8A1. Reszta wyposażona została w samopowtarzalne karabiny snajperskie nowego typu SR-25.

Preston przeszła kilka kroków, jakby lustrując oddział.

— Formacja Oszczep to ekipa olimpijska amerykańskich sił ochrony prawa — powiedziała. — Każdy z tych fachowców ćwiczył całymi miesiącami, by zostać przyjętym do tego elitarnego oddziału, i musiał pokonać silną konkurencję. O dwanaście miejsc walczyło ponad dziesięć tysięcy osób. Każdy spośród dwunastu przyjętych to najlepszy z najlepszych. To śmietanka FBI, Wydziału do Walki z Narkotykami, Rządowej Agencji ds. Używek i Broni Palnej, Secret Service, Marshals i tysiące wydziałów policji i biur szeryfów z całego kraju.

— Dlaczego nie pokażą twarzy? — krzyknął fotograf z Associated Press.

— To chyba jasne? — ucięła Preston.

Obejrzała się do tyłu na skrywającego twarz za maską dowódcę Formacji, który zrobił krok do przodu i podał jej kartkę papieru.

— Podczas zaprezentowanego przed chwilą pokazu umiejętności, którą nazywamy strzelaniem precyzyjnym w zaciemnieniu, członkowie Formacji Oszczep oddali 500 strzałów w ciągu półtorej minuty. Zgodnie z wynikami podanymi przez oficjalne olimpijskie urządzenia pomiarowe, do siedemdziesięciu pięciu elektronicznych celów w odległości stu pięćdziesięciu metrów trafiło z tego 499 strzałów.

— Tylko tyle? — obróciła się w stronę snajperów. — A mówiliście, że nigdy nie chybiacie celu!

Zamaskowany dowódca oddziału podniósł ręce i przekrzywił głowę w żartobliwym przeproszającym geście. Przez szeregi dziennikarzy przebiegł śmiech. Preston odgarnęła kosmyki włosów opadające na jej zielone oczy i także uśmiechnęła się. Zjednanie sobie ludzi rzadko zabierało jej więcej niż kilka minut. Teraz nawet nabzdyczeni dziennikarze pochłonięci byli bez reszty tym, co dla nich przygotowała, zafascynowani widokiem kobiety otoczonej grupą zamaskowanych, uzbrojonych mężczyzn.

Doskonały przepis na materiał do telewizyjnych wiadomości: świetna postać, świetne zdjęcia, świetna fabuła.

— Przesłanie jest jasne — oznajmiła Preston z zamiarem podsumowania prezentacji.  
— Lepiej nie znaleźć się na drugim końcu tego odczepu...

— Pani Preston — reporter Jerusalem Post przerwał jej starannie zaplanowaną wypowiedź dla mediów. — Dlaczego prezentujecie tę formację w pierwszy dzień Igrzysk?

— Proszę się zastanowić — odpowiedziała spokojnie. — Skoro mogliśmy pokazać Państwu coś takiego, to proszę sobie tylko wyobrazić, jakie niespodzianki przygotowaliśmy dla tych, którzy chcieliby zakłócić przebieg Igrzysk.

— Wolicie uprzedzić atak?

— Proszę to nazwać, jak pan zechce.

— Czy może pani potwierdzić lub zaprzeczyć, że FBI otrzymało wiarygodnie brzmiące pogrożki od grup terrorystycznych działających na Bliskim Wschodzie?

Wymuszony uśmiech na twarzy Preston zdawał się mówić „To chyba żarty”.

— N i g d y nie rozmawiamy o zagrożeniach, taką mamy zasadę — oznajmiła i dała swym pomocnikom dyskretny sygnał, że konferencja prasowa dobiegła właśnie końca.

## 4

### Los Alamos, piątek, 19 lipca, godz. 7:46

Mack McFall gnał samochodem na złamanie karku w kierunku Sektora 39, swego dwuhektarowego królestwa otoczonego znakami UWAGA: NIEBEZPIECZEŃSTWO, ogrodzeniem pod napięciem i wysokimi sosnami. Od laboratorium broni nowej generacji dzieliło go kilka minut drogi.

Laboratorium Narodowe Los Alamos mieściło się w 2224 budynkach rozrzuconych na obszarze ponad stu dziesięciu kilometrów kwadratowych. Imperium McFalla kryło się w skalistym kanionie w najbardziej odległej i najpilniej strzeżonej części całego terenu.

Samochód szarpnął przy ostrym wyjściu z zakrętu. Atomek, którym zarzuciło na tylnym siedzeniu, spojrział na swego pana z wyrzutem. Psu najwyraźniej nie podobała się ta przejażdżka.

Ten głos Stana Treadwella w telefonie — przerażony, nie panujący nad sobą: „Potrzebuję pomocy. To coś poważnego. Naprawdę poważnego. Proszę, Mack, przyjeźdź. Przyjeźdź szybko”.

McFall nie mógł sobie wyobrazić, co też mogłoby się wydarzyć w senny piątkowy poranek. Większość pracowników laboratorium wyjechała z miasteczka na długi lipcowy weekend. Pojechali do Taos lub do Albuquerque. Co mogło się stać?

Stan Treadwell przez ponad dwadzieścia lat był opiekunem, współpracownikiem i przyjacielem McFalla. Poznali się w Annapolis, na Akademii. Czterdziestopięcioletni wówczas Treadwell werbował nowych pracowników do laboratoriów badawczych Departamentu Energetyki i polował na młodych zdolnych. Pierwsza kolacja McFalla z Treadwellem w Klu-

bie Kadry przeciągnęła się do późna, gdy odkryli, jak wiele mają ze sobą wspólnego. Obaj byli synami oficerów Marynarki, obaj byli sternikami w załogach uczelnianych i obaj obdarzeni byli wyjątkową smykałką do atomów i cząstek elementarnych.

Najbardziej jednak łączyło ich to, że obaj stracili ojców w młodym wieku. Przy cygarach i koniaku stwierdzili, że należą do tej samej smutnej, bezimiennej wspólnoty mężczyzn, którzy nigdy tak naprawdę nie znali swych ojców i resztę życia spędzali usiłując jakoś wypełnić powstałe uczucie pustki.

Przez następne lata Treadwell starał się opiekować McFallelem, pomagać mu w początkach pracy dla oddziałów desantowych Marynarki. A osiem lat po tej pierwszej kolacji w Annapolis McFall przeniósł się do stanu Nowy Meksyk, by wraz z Treadwellem podjąć tajne prace nad najnowocześniejszymi w Stanach projektami broni atomowej.

Znali się ponad dwadzieścia lat. Jak ten czas leci, westchnął McFall pędząc w kierunku Sektora 39. Co mogło się stać jego przyjacielowi? McFall zrobił w myślach systematyczny przegląd możliwości.

Modlił się w duchu, żeby to nie była sprawa CR.

Wbrew sceptycznym opiniom większości konstruktorów broni nuklearnej, McFall i Treadwell pracowali nad uzyskaniem substancji wybuchowej o niespotykanej, niemal mitycznej sile. CR oznaczało czerwoną rtęć, jasnoczerwony żel uważany za klucz do wywołania kontrolowanej reakcji fuzji. Broń skonstruowana w oparciu o tę reakcję przy rozmiarach piłki futbolowej przewyższałaby siłą niszczenia nawet konwencjonalny międzykontynentalny pocisk balistyczny.

McFall natknął się na czerwoną rtęć zupełnie przypadkowo podczas tajnej misji w czasie wojny w Zatoce. Ściągnięto go z rezerwy, by poprowadził w Iraku specjalną operację mającą na celu rozbitcie tajnego programu zbrojeń nuklearnych Saddama Husajna.

Pojechał tam z Grupą X, elitarnym oddziałem sił specjalnych z Fort Bragg, w którego tworzeniu i szkoleniu miał swój udział. Grupa składała się z dwunastu agentów na tyle znających się na fizyce nuklearnej, by byli w stanie podjąć skuteczne działania przeciwko osobom lub krajom nielegalnie produkującym lub rozpowszechniającym broń atomową.

Chodziły pogłoski, że co najmniej kilku pokątnych handlarzy bronią w Basrze i Mosulu zajmuje się sprzedażą silnie wybuchowej substancji CR 2020. Choć podczas misji w Iraku McFallowi nigdy ten towar nie wpadł w ręce, to jednak zorientował się, że coś się święci, gdy paru spośród tych handlarzy skończyło w rynsztoku z kulką w głowie.

Po powrocie do Połączonych Sztabów Specjalnych w Fort Bragg, McFall zaczął zbierać informacje o czerwonej rtęci. Pobieźny przegląd prasowej bazy danych przyniósł szereg niejasnych wzmianek od Jeruzolimy po Przylądek Dobrej Nadziei. Powoli, bardzo powoli zbierał tajemnicze opowieści: agenci bezpieczeństwa z Argentyny, Niemiec, Singapuru i Szwajcarii twierdzili, że aresztowali przemytników czerwonej rtęci; pewien bułgarski dziennikarz opisał zakup tej substancji w Sofii; w Rydze policja oznajmiła o ujęciu gangu łotewskich handlarzy z dwunastokilogramowym transportem.

W wiedeńskim archiwum Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej McFall natrafił na szczególnie przemawiający do wyobraźni raport z RPA, pochodzący z początku lat 90. W bagażniku BMW znaleziono poćwiartowane ciało mężczyzny — niejakiego Alana Kidgera. Trup obłany był czerwoną oleistą substancją zawierającą rtęć. Policja w Johannesburgu podejrzewała, że zamordowany przemycał czerwoną rtęć dla jakiegoś bliskowschodniego kupca, prawdopodobnie dla Iraku. Prowadzący dochodzenie wysuwali przypuszczenie, że zabójstwa dokonali agenci Mossadu jako ostrzeżenie adresowane do wrogów Izraela. W lipcu 1994 roku policja z RPA ponownie zwróciła się do Interpolu w sprawie trzech podobnych morderstw powiązanych ze sprawą czerwonej rtęci.

Jednakże Moskwa i Waszyngton podawały w wątpliwość istnienie tej substancji. Rosjanie twierdzili, że cała sprawa jest wyssana z palca. Podczas wizyty w Rosyjskiej Akademii

Nauk McFallowi zaprezentowano kolekcję podróbek czerwonej rtęci pochodzących z całego świata – od zwykłej rtęci zabarwionej lakierem do paznokci po dżem truskawkowy doprawiony sproszkowaną rtęcią. Wręczono mu nawet tajny raport Ministerstwa Bezpieczeństwa stwierdzający, że cała ta sprawa to zwykły szwindel, a samo określenie czerwona rtęć zaczerpnięto z przestępczego slangu, „tak jak sałata oznacza pieniądze”.

Potem przyszedł rok 1993 i telefon od admirała Chala Taylora z Waszyngtonu z propozycją nowej pracy w Los Alamos. To nie konstruowanie nowej broni, obiecywał Taylor. W końcu laboratorium już się tym nie zajmuje. Układ START II i Układ o Zakazie Prób Jądrowych położyły kres działalności fabryk broni atomowej.

Taylor twierdził, że Departament Energetyki potrzebuje pomocy McFalla przy tworzeniu nowoczesnego arsenału antyterrorystycznego. „Jesteś jedynym, który wie, co naprawdę jest nam potrzebne – powiedział Taylor – i dostaniesz wszystko, czego zechcesz”.

Oferta ta przemawiała do poczucia patriotyzmu McFalla i odzwierciedlała jego obawy przed terroryzmem nuklearnym. Przyjął ją zatem skwapliwie. Naszkicował plan badań i powołał zespół współpracowników, do którego wszedł jego dawny opiekun Stan Treadwell, przebywający na wcześniejszej emeryturze w Key West na Florydzie.

Obaj zachwyceni byli perspektywą wspólnej pracy. Fascynowała ich szczególnie sprawa czerwonej rtęci. Kontrolowana reakcja fuzji stanowiła jedno z ostatnich wielkich wyzwań w dziedzinie zbrojeń atomowych. McFall i Treadwell wiedzieli, że muszą zwyciężyć w tym wyścigu. Tylko zrozumienie własności czerwonej rtęci umożliwi im znalezienie sposobu na jej unieszkodliwienie, w razie gdyby wpadła w niepowołane ręce.

McFall pędził drogą prowadzącą do Sektora 39. Łatwo było dać się zwieść bezładnie rozrzuconym starym barakom z blachy falistej. Za warstwą łuszczącej się brązowej farby kryły się laboratoria, w których uczeni pracowali nad konstrukcją najnowocześniejszej w Stanach broni atomowej.

McFall podjechał do bramy. Kościsty oficer dyżurny machnął tylko ręką. Parking był opustoszały, stał tam jedynie brązowy Chevrolet Treadwella. McFall zaparkował swego Forda i pobiegł do bocznego wejścia Budynku A, gdzie prowadzono eksperymenty z czerwoną rtęcią.

Wsunął kartę magnetyczną w otwór w zamku i położył dłoń na czytniku identyfikacyjnym. Drzwi otworzyły się. Pies wbiegł do budynku. Odgłos jego pazurów na śliskiej podłodze był jedynym dźwiękiem w opustoszałym korytarzu.

Już po kilkudziesięciu metrach McFall zobaczył snopy niebieskawego światła bijące z okien laboratorium. Przebiegł przez hall i wystukał na klawiaturze zamka szyfrowego sześciocyfrowy kod.

Laboratorium było puste. W kącie leżał sprzęt używany poprzedniego dnia. Przy stojaku z próbkami i zlewkami ktoś zostawił otwarty notes. Monitor spektrometru gamma jarzył się błękitnym światłem, jak z nierealnego podwodnego świata.

Ani śladu Treadwella.

Wtedy McFall usłyszał jęk.

W kącie laboratorium, na podłodze leżał Treadwell. Jego ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze, twarz miał zlaną potem, a oczy przerażone.

W dłoniach ścisnął licznik Geigera, który tykał gorączkowo, jakby nadawał Morse’em paniczny sygnał SOS.

## 5

**Pentagon, Waszyngton**

**Piątek, 19 lipca, godz. 9:55 czasu letniego EDT**